Lwów, 14. Kwietnia. Nr 44. Rok 1855.

NOWINY

Wychodza we *Wtorek, Czwartek* i *Sobote*. We Lwowie prenumerata roczna 6 Złr. półr. 3 Złr. kwartal. 1 Złr. 30 kr miesieczna 40 kr. m. k. W kraju z przesyłka pocztowa rocznie 8 Złr.— półrocznie 4 Złr.—kwartalnie 2 Złr. m. k. Rycziny mód kwartal. 1 Złr.

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmuja się za opłatą od wiersza pismem petyt w przedział, ce za jednorazowe umieszczenie po 3 kr., za następ. po 1 ¼ kr. i za dopłate 10 kr. stepl. za każdorazwe umieszczenie. Bióro expedycyi w księgarni *H. W. Kallenbacha*

WIENIEC CIERNIOWY.

Rozdział III.

SKROMNE I CICHE KOLEJE ŻYCIA.

(Ciąg dalszy.)

Na końcu dziedzińca była studzienka z korytem, w którem była woda; tam je zaniósł podróżny co prędzej, obmył główkę dziecka zranioną i przepaloną, i maczając chustkę w zimnej wodzie, przykładał do bolącego miejsca. Świeże powietrze i zimna woda orzeźwiły dziecko. Przyszedłszy do siebie, otworzył chłopak mały wielkie swe oczy, i wypatrzył się niemi na zakonnika z wyrazem dziecinnego zadziwienia, ale bez przestrachu i odrazy, uśmiechnął się nawet z lekka do poczciwej pielgrzyma twarzy. Lecz wnet zaczął się oglądać niespokojnie, ręce wydobył z pod płaszczyka, w którym był starannie zawinięty, zapewne, aby się nie mógł ratować, zaczął wołać dziecinnym ale wyraźnym już głosem, bo mógł mieć trzeci już rok:

— Mamo!.. mamo!.. ja chce do mamy. I łzy mu się potoczyły rzęsiste, i paluszkiem wskazywał tę stronę, w której stał dwór.

Lecz dwór już był także w ogniu.

— Biedne dziecko!.. szepnął do siebie zakonnik.. Więc ta co wczoraj wyjechała, z tym słodkim głosem, miałażby być jego matką, a tenże męczyzna?.... okropna to jakaś tajemnica.

Długo trwało za nim utulił biednego chłopca, który gwałtem wyrywał się, i z płaczem serdecznym domagał się matki, której biedny sierota już może nigdy niezobaczy.

— Pójdziemy do mamy! tłumaczył mu pielgrzym, głaszcząc go i pieszcząc. On co nigdy dotąd z dziećmi się nie bawił, poczciwem sercem wiedziony, nauczył się odrazu i pieścić je i przemawiać do niego. Ojciec Benedykt uczuł w tej chwili, że mu ojcowskie dla tego dziecka uderzyło serce.

— Główka mnie boli! mówiło dziecko: mama weźmie bubę... ja chcę do mamy.

Nareszcie z samego płaczu, gdy pod zimną wodą ból mu ulżył, zasnął chłopaczek. Teraz dopiero zaczął pielgrzym myśleć co mu dalej robić wypada. Że to była zbrodnia umyślnie przemyślana, o tem wątpić niemożna było, a więc zbrodnia ta musiała mieć powód swój. Czy tedy rozgłosić to zdarzenie, czy nie? pytał się ojciec Dominik sam siebie.

— Rozgłosić nakazuje sumienie, ale serce nie pozwala, bo to właśnie może zgubić biednego chłopca. Ten co chciał popełnić zbrodnię tak srogą, dowiedziawszy się, może wydrzeć dziecko i zabić je. Kto wie może on tu niedaleko, pomyślał w końcu zakonnik? Na tę myśl zerwał się i mimo bolu rany własnej, którą jak mógł obwiązał, owinął dziecko spiące jak najstaranniej w swój płaszcz pielgrzymi, i szybkim krokiem, niosąc dziecko ukryte, uciekał od pogorzeliska.

— A nawet, myślał dalej po drodze, gdybym chciał to rozgłosić i donieść, gdzież to i przed kim zrobić teraz w czasie wojennym. Dobrze to zabójca wyrachował, że spalenie domu i śmierć dziecka w nim, pójdą na karb walęsających się maruderów wojskowych. Nikt by mnie nie uwierzył nawet!

Tak myśląc przyśpieszonym krokiem, szedł coraz dalej ojciec Dominik po drodze, wiodącej go ku lubej Litwie. Szczęśliwym trafem zdybał wieśniaka, który z transportu wracał, i który go zawiózł o parę mil dalej. A chcąc się jak najprędzej oddalić, najął koniki i znowu mil kilka dnia tego jeszcze ujechał. Dziecko jak dziecko to płakało, to się uśmiechało. Mamy wołał jeszcze nieraz, ale coraz więcej przyzwyczajał się do twarzy swego nowego opiekuna, a nawet głaskał go po niej małą swą rączką. Nazajutrz już byli o mil kilkanaście od Warszawy, i zbliżali się do granicy Litewskiej. Nagle zasłabło dziecko na gorączkę. Ojciec Dominik znalazłszy wraz z nim przytułek w chacie poczciwego leśniczego jakiegoś, biegał koło dziecka z troskliwością ojca i matki razem. Słabość była niebezpieczna i długa, a gdy dziecko ozdrowiało, zapadł biedny zakonnik w skutek doznanych wzruszeń, źle zagojonej rany i zmęczenia. Dosyć że dwa miesiące minęło, za nim się ojciec Dominik w dalszą puścił drogę. Przez ten czas biedne dziecko napłakawszy się nie raz jeszcze za mamą, zaczynało zapominać ją zupełnie, ale za to poczciwego zakonnika ojcem nazywało, co jego serce napełniało niewypowiedzianą rozkoszą. Za nim się do klasztoru zawlekli, a ojciec Dominik całą drogę szedł piechoto i niósł chłopca na ręku, bo na najęcie koni nie starczyło

już, chłopiec zapomniał zupełnie i matki i scen jakie przebył, do czego zapewne najwięcej przyłożyła się słabość przebyta.

— Jak cię mama nazywała? pytał się dziecka w pierwszych chwilach.

Chłopiec nie umiał dobrze odpowiedzieć; ledwie bowiem pamiętał skrócenie jakieś pierwotne, jakim go matka wołała, a z którego nie można było poznać prawdziwego imienia.

Ojciec Dominik tedy jako Litwin zagorzały postanowił nazwać go Witołdem.

Im więcej zbliżał się do klasztoru swego, tem więcej rozmyślał nad tem, czy i co powiedzieć przełożonemu i braciszkom. Wzdrygał się na to, aby nieprawdę powiedzieć, a nawet przyszło by mu to z trudnością, bo całe swe życie nie odstępował on prawdy, którą miłował nad wszystko.

Lecz jak powie, przełożony go zgromi za to, że zaraz władzom nie doniósł, że się nie wywiedział należycie, i zechce tę rzecz rozgłosić, zechce robić poszukiwania, czego skutkiem będzie niezawodnie zguba biednego dziecka, a przynajmniej oddalenie jego z klasztoru. Rozdzielić się z dzieckiem które tak pokochał, to była dla niego myśl okropna.

Długo ważył wszystko na szali sumienia swego, i nareszcie postanowił, choć nie skłamać, ale po raz pierwszy w życiu nie wypowiedzieć całej prawdy. I dla tego jak już widzieliśmy wyżej, wróciwszy do klasztoru, opowiedział, jako w pustej i spalonej wiosce której nazwy nie wiedział, i z powodu niepokojów wojennych dowiedzieć się nie mógł, przydybał skaleczone i popalone dziecko i wziął je z sobą, widząc wyraźny w tem palec opatrzności. Ojciec Bonifacy, który był wówczas przełożonym klasztoru, dobry i prostoduszny człowiek, nie wiele się więcej wypytywał i przystał chętnie na to by się ta sierotka biedna koło klasztoru chowała. Oddany z początku do starej młynarki, ledwie nieco podrósł, i dobrze biegać zaczął, nie chciał już odstępować ojca Dominika, który wyprosił dla niego celę osobną.

Walka ta wewnętrzna jaką przebył ojciec Dominik, nie skończyła się wszakże od razu, czyli raczej nie skończyła się nigdy. Nieraz bowiem odzywał się w nim głos sumienia czy głos ludzkiego rozsądku, i zdawał mu się zarzucać, że może tym sposobem wydarł dziecku los świetny, że zatajenie prawdy jest grzechem, a w tym razie może nawet i występkiem; nieraz po całych godzinach nocnych na gołej klęczał ziemi, bił się w piersi, i blagał najwyższego by go oświecić raczył. I zawsze zwyciężało to przekonanie wewnętrzne, silniejsze nad wszelkie rozumowania, że dobrze zrobił.

Dla uniewinnienia ojca Dominika trzeba i to powiedzieć że głównym i najważniejszym powodem takiego postępowania nie było same jakkolwiek wielkie przywiązanie jego do dziecka. Był jeszcze jeden powód stanowczy u ojca Dominika, który wypływał z jego usposobienia. On był przekonany szczerze i święcie, że to opatrzność sama oddała sierotę w jego ręce, by się nią opiekował, stosownie do celu jaki jest ukryty w tajniach opatrzności. Utwierdzało go w tem mniemaniu, i owe senne marzenie w chacie kmiotka, i ten pociąg jaki uczuł by z drogi zwrócić do samotnego dworku, i cały zbieg szczególnych okoliczności. Ta zaś wiara w prowindencionalny fatalizm była u niego od dawna wkorzeniona, była istotnym fatalizmem jego życia całego.

Aby to jego usposobienie lepiej poznać, przebiegniemy pokrótce koleje jego życia, które na nie wpłynęły. Zdaje się nam to tem potrzebuiejsze, ile że to jego usposobienie, przeszłem życiem wyrobione, wpłynęło najsilniej na wychowanie, a więc i na losy naszego młodego bohatyra.

Dzieje ojca Dominika nic w sobie nie zawierały nadzwyczajnego; całe jego życie przeszło na zewnątrz bez wszelkich zdarzeń pamiętnych, ale za to na wewnątrz było pełne walk serdecznych, ludziom nieznanych, przez tłum zwykle pogardzonych, które zostały między nim a Bogiem.

Za życia świeckiego nazywał się Józefem, i urodził się niedaleko znanego klasztoru karmelitów bosych nad Wiliją, w skromnej zagrodzie małego futorku szlacheckiego, który był własnością jego rodziców. Mimo nie wielkiej fortunki płynęła w nim krew szlachecka. Ojciec jego i dziad byli dworzanami najzamożniejszego wówczas na Litwie domu Radziwiłłów. Urodził się nadzwyczaj słabowitym, a że był jedynakiem, matka jego kobieta bardzo pobożna, ofiarowała go do Matki Boskiej karmelitańskiej, i zrobiła wotum za niego, że do lat dziewięciu chodzić będzie w zakonnej szacie karmelitów. Strój ten był małemu Józiowi zupełnie do twarzy; jak wszystkie bowiem dzieci chorowite, był on nadzwyczaj cichy, w sobie samym zamknięty, lubiący samotność i zabawy spokojne. Wierny swojej sukni, po całych dniach strugał sobie krzyże, lichtarzyki kościelne, na książkach nabożnych czytać się nauczył. Z nabożnych książek najwięcej mu przypadały do smaku obrazki świętych, w które po całych dniach się wpatrywał, i usiłował je odrysować węglem na wszystkich ścianach rodzinnej chaty. Matka Boska karmelitańska przyjęła snać ofiarę matki Józia; gdy bowiem przyszedł do lat dziewięciu, zdrowie się jego ustaliło i był zewszechmiar tęgim i rumianym chłopakiem, ale usposobienie owe ciche, marzące, smutne prawie, zostało już na zawsze. Pierwsze jego wielkie cierpienie było, gdy się przyszło rozłączyć z zakonnym strojem, lecz taka była wola ojca jego, starego nie w jednej potrzebie wypróbowanego wojaka, który jedynaka nie chciał widzieć zakonnikiem, ale żołnierzem, jakim sam był przed laty. Musiał się Józio uczyć sztuki szermierskiej, musiał uganiać na koniu; robił to wszystko bez wszelkiego zami-

łowania, ale wykonywał wiernie rozkazy ojca, którego wola była mu świętą. Ze wszystkich nauk ojcowskich najmilsze mu były wieczorne pogadanki przy płonącym kominie, gdy ojciec rozpowiadał mu dzieje wypraw wojennych jakie sam przebył, dzieje rodzin szlacheckich, i dzieje nareszcie ojczyste. Słuchał wtedy Józio z największą uwagą, i patrząc na trzeszczące polanka w kominku, marzył swobodnie a marzył Bóg wie co, marzył bez celu, marzył to, co by sam nie był w stanie opowiedzieć.

Drugą smutną katastrofą w życiu jego było gdy mając lat osiemnaście, dostał się na dwór księcia Radziwiłła do Nieświeża. Zawiózł go tam ojciec, i polecił opiece starego księcia, któremu był dobrze znajomy. Z bolem serca porzucił Józef zagrodę rodzinną, i ten domek luby, który był świadkiem tylu mglistych marzeń jego, i matkę ukochaną, której łzy rozpalonym ołowiem padały mu na głowę. Pożegnał matkę, pożegnal później i ojca, i już ich więcej nie widział. Ojciec umarł ze starości, matka z tęsknoty za synem, a sierota został na obcym dworze, między obcemi ludźmi. Stary książę lubił go, pamiętny na zasługi ojcowskie, i szczerze się nim zajmywał. Ale to zajęcie zależało od pamięci, zależało od zatrudnień; na nieszczęście u magnata tak wielkiego jakim był książę Radziwiłł, zatrudnienia są wielkie, a pamięć mała. Inni za to dworzanie mszcząc się na nim za łaskę księcia pana, nie zapominali nigdy dokuczać chłopcu, którego życie ciche i porządne było im solą w oku, bo żywym i codziennym wyrzutem. Drwili z niego, urągali jego nieśmiałości, szydzili z każdego jego kroku, a wyprawiali mu tysiące psikusów, najszczęśliwsi gdy mu jaki zdarzył się przypadek, a mianowicie w oczach księcia. Dosyć że w końcu ustaliło się na dworze to ogólne przekonanie, które i sam książę dzielić zaczął, że pan Józef najlepszy człowiek ale mazgaj okropny.

Za nadto miał bierne usposobienie, by nie miał zarazem rezygnacyi, z którą przyjmował obejście się dworzanów. Jak tylko mógł, uciekał do swego pokoju, i tam pocieszał się marzeniem, czytaniem i malowaniem, do czego coraz większy czuł pociąg. Ale był już w tym wieku, w którym z łona samychże marzeń, budzą się nowe uczucia jakiegoś niepokoju niezrozumiałego, tęsknoty bezcelnej. I w tej właśnie najniebezpieczniejszej chwili, padł na niego wzrok pełny ognia i życia, wzrok palący młodej dziewczyny. Najpiękniejsza z panien dworskich była panna Anna; wiedziała o tem że była piękną, bo zwierciadło to jej mówiło, i powtarzali liczni wielbiciele. Dumna z tego, pewna siebie, a przytem lubiąca żartować, przyzwyczaiła się do hołdów, które przyjmowała jakby się jej należały koniecznie, a nawet za złe miała, gdy który kolwiek z otaczającej młodzieży śmiał nie uznać tej władzy.

Panna Anna dawno zauważała pana Józefa, który się jej nawet podobał; i nie była może daleka od kochania, gdy go nagle znienawidziła za tę obojętność jaką jej okazywał. Aby się zemścić za tę zniewagę jej wdziękom uczynioną, puściła ku niemu kilka z najostrzejszych strzał swojego przenikliwego wzroku; a były to strzały jadem urażonej miłości własnej i to kobiecej jeszcze zatrute.

Biedny młodzieniec pociskiem takim trafiony, rozkochał się na piękne; prosto z marzeń wpadł w najżywszą miłość, i złożył w to uczucie, tak nowe i tak powabne dla niego, wszystkie serca swego skarby. Lecz niestety u niego była to prawda, u niej gra, zabawka, przybrana rola, którą umiała tak zgrabnie wykonywać, że pan Józef był przekonany o jej wzajemności, i za szczerość panny Anny gotów był głowę położyć. Jakoż doprowadziła do tego, że raz wieczorem w ogrodzie samotnym idąc z nią szpalerem, pan Józef nie mogąc już dłużej zataić uczucia, które mu piersi rozpierało, upadł przed nią na kolana, i wyrzekł głosem drżącym od rozczulenia i łez nawet:

— Anno ja cię kocham! kocham nad życie! bądź żoną moją.

Na te słowa panna Anna cofnęła się od niego parę kroków, zmierzyła go wzrokiem lodowatym i pogardliwym, a śmiejąc się szyderczo, zawołała:

— Jaki mi gagatek na męża; tobie być mnichem panie Józefie, nie mężem!..

Jeszcze przyjść do siebie nie mógł z zdziwienia osłupiały pan Józef, gdy nagle ze wszystkich stron ogrodu zaczęły się odzywać śmiechy głośne, i ze wszystkich stron zaczęli się zbierać przygotowani już zapewne do tego dworaki i dworskie panny.

Zerwał się pan Józef, po raz pierwszy urażony do żywego, spojrzał na pannę Annę nie z gniewem, ale z ubolewaniem, na śmiejących się z zimną pogardą, i wyszedł szybkim krokiem z ogrodu.

— Gagatek!.. mnich!.. powtarzali wszyscy śmiejąc się do rozpuku.

Panna Anna tylko, gdy widziała go odchodzącego z ogrodu odwróciła się, i ukradkiem parę łez otarła. Ona w tej chwili uczuła że nigdy już w życiu nie będzie tak kochaną.

Na zajutrz poszedł pan Józef do starego księcia i pożegnał go, mówiąc, że nie czuje powołania do służby dworskiej. Daremne były przedstawienia księcia; w parę godzin poźniej wyjechał pan Józef do samotnego dworku swego. Smutno mu tam było samemu jednemu, a w sercu tak próżno i boleśnie. Po kilkunastu dniach walki wewnętrznej, udał się do znajomego sobie od lat dziecinnych klasztoru, by w gorącej modlitwie poradzić się tej Matki Boskiej, której opiece przez matkę był poruczony. Modlitwa szczera, ta cisza klasztorna i piękność okolającej go przyrody, uspokoiły umysł i serce pana Józefa. Wrócił do domu z postanowieniem zostać księdzem. Co panna Anna i dworzanie w szyderstwie wyrzekli, stało się na prawdę

Wyprzedał się pan Józef zupełnie; część zebranego grosza rozdał między ubogich, resztę darował klasztorowi, i odbywszy nowicyat, został zakonnikiem.

Cicho i spokojnie płynęło mu życie wśród modlitwy, służby kościelnej i samotnych przechadzek po uroczej okolicy. Pannę Annę pomału zapomniał; serce jego ozdrowiało zupełnie; i tak mu lat kilka minęło. Lecz jeszcze jednę wielką miał odbyć walkę.

Pojawił się w sąsiedztwie dawny pana Józefa lat dziecinnych towarzysz. Był to także syn szlachcica, ale ubogiego; straciwszy rodziców, chłopcem prawie będąc ruszył w świat, bo był ducha niespokojnego. Zwiedził pan Jan kawał nie mały światu, bo i po Niemczech wędrował, i z Gdańska na morze się nawet puścił; rozmaicie mu się działo na świecie; jak to mówią bywał pod wozem i na wozie. Dorobił się nareszcie trochy mająteczku i mimo męskiego dopiero wieku, styrane mając zdrowie, wrócił do do kraju rodzinnego. Kupił sobie tu młyn niedaleko klasztoru położony, i kawał spory gruntu; a że szlachectwo swoje dawno na kołku zawiesił, zajmował się młynem i gospodarką jakby prosty wieśniak.

Dziwnego nabożeństwa to był człowiek; w prostej chodził szermiędze, a gdy mówił, to jakby uczony jaki. I w rzeczy samej wielka w jego usposobieniu zaszła zmiana. Z żywego i roztrzepanego niegdyś chłopca, któremu świat cały wydawał się za ciasnym, zrobił się senzat niepospolity, zatopiony w książkach, których wielką liczbę z soba przywiózł; a były między niemi jak twierdzieli ludzie księgi pisane w najrozmaitszych językach. Z początku nawet uważano go za czarownika, bo nikt od niego lepiej nie umiał przewidywać zmian powietrza, co mu nietylko pomagało w gospodarce, ale czem się nieraz niejednemu przysłużył sąsiadowi. Lecz później gdy się pokazało, że swych czarów nie używał na złe, że przeciwnie usłużny i uprzejmy dla wszystkich, chętnie każdemu pomagał i datkiem i radą: a w tych radach pokazały się niepospolite wiadomości lekarskie, któremi nie jednego od śmierci wyratował, przestano go nazywać czarownikiem, ale przezwano natomiast cudownym lekarzem.

Pan Józef, czyli jak się przezwał zostawszy zakonnikiem, ksiądz Dominik, jako dawny pana Jana znajomy, odwiedzał go często, i pokochał go serdecznie, całą siłą swego kochać pragnącego serca. Najprzyjemniejsze chwile pędził w młynie cudownego lekarza, mianowicie gdy mu ten rozpowiadał cudowne rzeczy o krajach które przewędrował, o zdarzeniach które przebył. Umysł spokojny księdza Dominika skorzystał wiele, ale też i wiele stracił, bo te opowiadania pana Jana rozbudziły w nim jakiś niepokój, jakaś żądzę nowości.

Pomiędzy krajami jakie przewędrował pan Jan, najczęściej w handlowych sprawach bywał w Szwecyi, gdzie miał sposobność stykać się z ludźmi zapalonemi do cudownych marzeń i nauk Swedenborga, które właśnie najżywiej wszystkie zajmywały umysły. Nieszczęśliwa niemoc jakaś która go podówczas napadła, i z której go wyleczył zwolennik jakiś tego szwedzkiego marzyciela, ustaliła pana Jana w przekonaniu, które po dziś dzień trwa jeszcze w Szwecyi, że Swedenborg był natchnionym przez Boga, cudowne miewał widzenia, i że jego nauki są naukami najczystszego chrystianizmu. I w ówczas to zaszła ta wielka zmiana w usposobieniu pana Jana, który zaczął czytać wiele, a więcej jeszcze marzyć. Z czytania i marzeń przechodził pomału w stan gorączkowej exaltacyi, w którym najmniejsze przewidzenia swoje, przeczucia jakieś, brał za zbliżanie się owego stanu natchnionego, którego pragnął dusznie, by módz, jak mistrz Swedenborg wejść w styczność z duchami i umarłemi. Jednem słowem stał się zapamiętałym Swedenborgistą. Do stanu natchnienia nie przyszedł, ale straciwszy zdrowie, zdało mu się raz mieć przeczucie, że w własnym kraju może stać się pożytecznym rozprzestrzenianiem nauk mistycznych Swedenborga.

Wrócił więc jak mówiliśmy do kraju, i chociaż jawnie nie propagował wiary swojej, bo zawsze jeszcze oczekiwał tego natchnienia, które miało go zrobić godnym do tego kapłaństwa, ale opowiadając i rozmawiając, rzucił nieraz myśli nasiąkłe mistycyzmem. Marzący umysł księdza Dominika był plennym gruntem na to ziarno mistyczne, rzucone weń rozmowami z panem Janem. Mistyczne nauki Swedenborga, tem więcej trafiły do przekonania jego, że w niczem nie obrażały szczerej jego wiary i pobożności. W rzeczy samej Swedenborg był chrześcianinem w najczystszem tego słowa znaczeniu, a wizje jego wszystkie jakie miewał, czyli tam zdało mu się że miał, nie sprzeciwiały się w niczem wierze chrześciańskiej, i owszem utwierdzały poniekąd wiarę w wszechmocność i nieskończoność Boga, i w nieśmiertelność duszy człowieczej.

Po mału tedy marzenia księdza Dominika stały się coraz dłuższemi, mistyczniejszemi i napełnionemi tęsknotą do tych wizyj nadprzyrodzonych, w których prawdziwość i możliwość uwierzył zupełnie. Nic dziwnego że w takim stanie exaltacyi, przy samotnem jego życiu, przy ciągłych modlitwach, nieraz wydało się księdzu Dominikowi że miał czasem przeczucie na jawie, czasem sny nocne, które się potem ziściły. Wierzył w to święcie, że takie przeczucia z boskiej pochodzą ręki, i błagał Boga o nie z całą wiarą, nie dla próżnej ciekawości lub dumy od której był daleki, ale by mógł się stać bliźnim pożytecznym.

(C. d. n.)

ROZBITEK.

(z Heinego.)

Nadzieje i miłość! Wszystko stracone!
Jako trup leżę na samotnym brzegu

Którego groźnie morze zapienione
O głaz rzuciło w rozhukanym biegu;
Przedemną szumi zagniewana fala,
Za mną się ścieli nędza i zgryzota,
A ponad głową płyną chmury zdala,
Ciemne, ciężarne i wiatr niemi miota;
Powietrzne córki mglistemi wiadrami
Czerpią mozolnie siną wodę z morza,
I ciągną w górę, by ja znów kroplami
Spłakać powoli do dawnego łoża.
Puste i nudne tych chmur zatrudnienie,
A takie marne jak me własne życie!

Bałwany huczą, jęczą smutnie mewy
Wspomnienia dawne jak lekkie powiewy
Do serca mego wkradają się skrycie,
I budzą w duszy sny już zapomniane,
Obrazy słodkie, boleśne, kochane.

W zimnej krainie, na północ daleko,
Żyje dotychczas przecudna dziewica,
Pamiętam miejsce... Dom stoi nad rzeką...
Dokoła piękna, dzika okolica.
Tam ona żyje.... jak postać anioła
Wysmukłą kibić kryje biała szata,
Włos czarny spada z wyniosłego czoła
I wkoło twarzy same kręgi splata,
Na pięknej twarzy boleść tajemnicza,
A z jej bladego jak marmur oblicza
Wybłyska oko, jako czarne słońce.

O czarne słońce, jakże często piłem
Ze zdroju twego płomienne natchnienia,
Piany rozkoszą i urokiem miłym
Stawałem niemy i pełen zdumienia,
Patrząc aniele na uśmiech gołębi,
Na twoje tęskne i czarowne lica;
Poczem z ust twoich, z twego serca głębi
Płynęły słowa jak światło księżyca,
A takie słodkie jako tchnienie róży.!
Wtenczas ma dusza opuściwszy ziemię
Jak sęp się wzbiła aż pod nieba stropy:

Milczcie o mewy i szalone fale!
Marne nadzieje i szczęście zwodnicze,
Z strzaskanem sercem ja leżę na skale
Rozbitek nędzny, ponury, samotny,
I wciskam dzikie, płonące oblicze
W piasek wilgotny . . . .

Romuald K......

Najnowsze dzieła.

Rotmistrz bez roty,

powieść w 3 tomach Alexandra Niewiarowskiego.

(Dokończenie.)

Rotmistrz Stanisław w imieniu Hektora jedzie za panią Hektorową, robi z nią rodzaj układu, proponuje jej rozwód którego ona przyjąć nie chce To nie jest Hektorowi na rękę, bo z rozpaczy nie wiedział co robić, zakochał się w Warszawie, dokąd jeździ co ranku, i gdzie udaje mularza przed Zofią, córką ubogiego porucznika inwalida. Przenosimy się do Warszawy, i tam poznajemy jakiś rodzaj stowarzyszenia *Muskieterów*, rodzaj tak zwanych *Bohemes* i *Viveurs* paryskich. Po co, na co, dla czego? a co więcej czy istotnie istnieje lub istnieć może coś podobnego u nas,? nikt naturalnie odpowiedzieć nie zdoła; po prostu zdaje się że się autorowi podobały ryciny podobnych typów paryskich, z powieści nowych czerpane. Do tych *muszkieterów* wprowadzonych bez celu należy i nasz rotmistrz, i jakiś lekarz i adwokat razem, którzy obydwa poznawszy się z porucznikiem, ojcem Zofii, chcą tę dziewczynę kochającą się w udanym mularzu, a przytem cierpiącą na suchoty wyratować fizycznie i moralnie. Pokazuje się tu że porucznik Drzazga jest bratem innego Drzazgi, który jest dziedzicem połowy wsi do rotmistrza należącej. Obrazek Drzazgi i jego żony, córki Ewy i syna Mikołaja, jakkolwiek są to postacie niskie i mało znaczące, jest przecie najlepiej udały, bo go autor nie szukał za granicą, ale w własnym kraju. Rotmistrz tedy wyprowadza zgrabnie w pole swojego współdziedzica, aby wyratować dla porucznika Drzazgi fundusz który mu się słusznie należy. Sprowadzają tedy chorą Zofię i kalekę Porucznika na wieś, gdzię Rotmistrz pokazuje się pełen delikatności i wspaniałości dla swoich protegowanych. Przypadek odkrywa przed Zofią, że mularz Hektor jest Hrabią Hektorem i żonaty do tego. Zapada w gorączkę, przychodzi do zdrowia, lecz niema dla niej innego ratunku, jak posłać do Ems i do Włoch. To poddaje myśl rotmistrzowi, by jej ofiarował rękę; tym tylko sposobem bowiem może i jej zdrowie ratować i jej reputacją przez plotki okoliczne nadwerężoną. Oświadcza się; a oświadczając przekonuje, że na prawdę rozkochał się w Zofii. Dziewczyna waha się, lecz widząc rozpacz ojca, zezwala. Zabierają się i jadą do wód. —

Tymczasem u hrabiego Hektora dzieje się zupełnie co innego. Książę S. umierający, robi testament na rzecz Hektora i zapisuje mu ogromny majątek, lecz dowiedziawszy się od barona, który umyślnie po to z Londynu przybył, o owych wexlach fałszywych, przerabia testament na rzecz Hektorka i umiera. Wzmaga to nienawiść w ojcu do syna, którego uważa za obce dziecko i postanawia zemścić się. Wraca do żony, udaje rozkochanego, z czego ta najszczęśliwsza; wyjeżdżają za granicę z synkiem. W tem samem

miejscu gdzie się poznali, pomiędzy skałami, Hektor z najzimniejszą krwią w Europie rzuca Hektorka w przepaść. Izaura nie widzi tego, lecz się domyśla, i pisze do Alfreda prosząc o zemstę. Jak to już do prawdy podobne,? rozwodzić się nawet nie potrzeba. Alfred przyjeżdza i pojawia się przed Hektorem jak posąg komandora w Don Juanie; pojedynek między nimi konieczny. Lecz Hektor niechce głośnych strzałów, niechce szczęku oręża. Rozgrywają się bohaterowie w ekarté o życie w obec Izaury czarnym kwefem osłoniętej. Scena oczywiście okropnie okropna, a podobna do prawdy, mianowicie do prawdy polskiej, jak wszystko inne w tej powieści. Hektor wygrywa i podaje truciznę Alfredowi, który ją zażywa, i za rozkazem Hektora rzuca się do Elby, bo rzecz się dzieje w Dreznie. A więc Alfred umiera, Hektor dostaje pomieszania zmysłów, i umiera; Izaura jedzie do Włoch i także umiera. Z tamtą druga parą nie lepiej się dzieje. Rotmistrzowa Zofija walczy bóg wie dla czego z miłością jaką poczuwa do męża, coraz mocniej zapada i umiera; porucznik dostawszy złe wiadomości od córki, pada i umiera: rotmistrz bez roty jedzie w świat, cierpi na suchoty i umiera także. Pozabijawszy szczęśliwie wszystkich bohaterów swoich, autor kończy powieść i dobrze robi. Na pożegnanie tylko wyprawia nam jeszcze jakiś bankiet muszkieterów, którego cel i potrzeba zostają nieodgadnięte. Otóż i wszystko.

Zdaje nam się, że niepotrzebujemy się dłużej rozwodzić, aby przekonać, jak źle zawiązaną, źle przeprowadzoną jest cała powieści intryga, i jak słabo odrysowane są charaktery wszystkie. Nic się tam nie dzieje z przyczyn koniecznych, dobrze umotywowanych, ale z woli samowładnej autora, który nie zdarzenia do ludzi zastosował, ale ludzi do zdarzeń. Nie możemy wszakże zaprzeczyć, że niektóre epizody, jak ten o którym wyżej wspomieliśmy, rozmowy niektóre dość żywo prowadzone, i nawet szczególne myśli wystające żywiej naprzód, okazują talentu dosyć w autorze, co daje nam otuchę, że p. Niewiarowski przeszedłszy na pole naturalnego a swojskiego opowiadania, może się jeszcze wyrobić, i zwiększyć skromną dość liczbę naszych powieściarzy. Niech tylko ma w pamięci, co nadmienia Kraszewski, odpowiadając Korzeniowskiemu na umieszczony i w Nowinach wiersz do powieściarzy. Domaga on się od pisarzy o *nowe* w literaturze. Wyjaśnił on co pod nowem rozumie. «Chcemy nowego rzekł, rozumiejąc przezeń pracę, rozmysł, wykończenie, sumienność i walkę z talentem własnym, który dając łatwość tworzenia często jest zgubną pułapką. Przestrzegaliśmy, że jak ów kaznodzieja do parafian swoich i my mówimy do pisarzy: nie patrzcie na uczynki nasze, strzeżcie się grzechów moich. Słuchajcie nauki — nie chodzi tu o nas wcale, nigdybyśmy się za przykład nikomu stawić nie myśleli, przeciwnie. Literatura co chwili bujniej się rozwijając, potrzebuje by ktoś szepnął na ucho jej kapłanom, że przyszłość zgotowaną jest dla tych tylko, co w pocie czoła, we łzach i krwawym znoju tworzyć będą, co nie lekkie pomysły zaspokajając próżniaczą ciekawość, ale krew i łzy swoje przyniosą na pokarm czytającym. Nie chciano nas zrozumieć, choć zdaje się żeśmy mówili jasno i wyraźnie, jakiej nowości pragniemy szczególniej od powieściopisarzy. Odwzorowywać przeszłość i terazniejszość, przedstawiać typy, zarysowywać sceny, w których autor maluje społeczność konwencyonalną lub sam siebie stokrotnie powtarza, zaprawdę nie dosyć jeszcze; nie dosyć puścić wodze fantazyi, marzeniu, wspomnieniom, mimowolnemu naśladownictwu poprzedników, których się tylko przedzierżga. — Pisarz, który z próżnemi rękami ani nowej myśli, ani formy nowej nie przynosząc przychodzi — może być chwilowo ciekawem zjawiskiem, może wywołać oklaski i uznanie talentu, ale to efemeryda, dla której nie ma przyszłości. Tego rodzaju indywidualności, stare nim się objawić mogły, stoją w literaturze jak w starożytnej tragedyi chóry, w których nierozróżniano osób, choć śpiew ich był do całości potrzebny. Byle nie śpiewał falszywie zda się zapewne chórzysta, ale jednostka jego zginie zlana z innemi, bo się nie zdobyła na odrębną rolę. Młodszym szczególniej pisarzom powtórzyć to musiemy, że przyswojenie sobie bodaj najszczęśliwsze cudzej formy, sposobu pojmowania i przedstawiania społeczności, zręczne podszycie się pod kogoś najbardziej nawet utalentowanego, wydoskonalenia wreście cudzej maniery, nic jeszcze nie stanowią, i każdy z nas powinien mieć własną rolę; *doublures* tu nie potrzeba na tym teatrze, choć drobną ale swoją nieśmy cegiełkę do budowy gmachu, lub wyrzeczmy się zawczasu imienia współ-budownika.

«Dla czegośmy to mówili i powtarzamy? jasna, kto z uwagą czyta co się dziś tworzy. Na jedno niemal kopyto odlane są wszystkie powieści nasze: są to waryacye z jednego tematu, niekiedy z talentem pomyślane, odegrywane prześlicznie; ale waryacye w końcu nudzą i męczą; na Boga trzebaby się przynajmniej o swój własny temat postarać!»

Bez myśli oryginalnej, bez ożywczego ducha, bez fizjognomii właściwej, żaden pisarz, szczególniej pisarz powieści, żyć nie może samoistnem życiem. — Każdy mniej więcej naczytawszy się czegoś, potrafi to naśladować po swojemu; ale tłum dobrowolnych czy mimowolnych i zbłąkanych tylko naśladowców nie stanowi literatury, zużywa najpiękniejszą formę i jak ćma szarańczy zjada do szczętu co pracowita posiała ręka.

Jest to po troszę prawem duchowego świata, że mistrze satellitów mieć muszą, jak planety księżyca: ale niemniej prawdziwe, że nie godzi się być księżycem gdy kto sam na swoją rękę mógłby być choć maleńką jaką planetką. Może być, że w ten sposób wyrabia się w literaturze przej-

ście z jednej formy do drugiej, z jednego do drugiego okresu: wielka liczba naśladowców wyczerpuje formę daną i zwiastuje przejście do innych. Czas by znaleść tę inną doprawdy!

Są ludzie, którzy przez wrodzone nam i plemieniowi naszemu lenistwo, przy wielkim nawet talencie, zabierając się do pisania, bez namysłu, bez prawdziwego natchnienia, na które poczekać nie chcą lub w nie nie wierzą, nie zastukawszy do własnej piersi, sami o tem nie wiedząc, biorą się do łatwego naśladowania — do takich to szczególnej stosóją się słowa nasze, bo pragniemy, by się ich siły nie zmarnowały nadaremnie. Zarówno moglibyśmy też odezwać się do pisarzy, którzy już próbowali sił swoich, którym nałóg pisania dał łatwość tworzenia, których publiczność popsuła pobłażaniem, którzy drzemiąc na więdniejących laurach, przez sen bają od niechcenia. Niech i ci obudzą się do życia nowego, do pracy, do uczucia, i z piersi własnej dobędą zatajone w niej skarby. Wielkie jest powołanie pisarza; możemy się na śmiech narazili nieraz głosząc je kapłaństwem: ale nie mniej utrzymywać będziemy, że spełniać je należy z poświęceniem się, z zaparciem, w pocie czoła i znoju ducha, a nie jak igraszkę bez celu. Powieść, do której szczególniej stosowaliśmy odezwę naszą, im dziś większą gra rolę w literaturze, tem też większe ma obowiązki. Przed laty dwudziestą, trzydziestą, odwzorowanie w niej kilku typów nowych i barwnych było już zasługą, wierny obraz społeczności był dowodem talentu w tych, którzy się nań pierwsi ważyli; dziś, gdy też same typy mutatis mutandis każdy student naszkicować potrafi, gdy ten obraz trochę zmieniając barwy sto już osób malowało, wymagamy czegoś więcej, głębszego pojęcia potrzeb i wad społeczności, idealniejszego przedstawienia jej kierunków, artystyczniejszego obmyślenia planu i wykonania całości. Powieść Jean Paula, Hoffmana, Goethego, Tiecka, Chamisso, że innych pominiemy, ogromnie się różni od siebie; z pierwszej karty poznasz autora; zdaje się, że u nas trudnoby było nawet z dziesięciu wyrzec, kto ją napisał, tak większość jest do siebie podobna. We współczesnej literaturze angielskiej Dickens, Ainsworth, Thackeray, Bulwer, mają każdy oddzielną manierę; nie powiemy tego o większości pisarzy naszych. Może nie tyle brak tu talentu i wybitnych indywidualności, ile zastanowienia, zbadania siebie i pracy. Najlatwiej jest za panią matką powtarzać, i to się też robi po większej części z coraz tylko odmienną intonacyą. Chcemy więc nowej myśli, nowej formy, a raczej żeby każdy miał myśl swoją i formę jej starał się nadać właściwą, a nie przykrawał sobie cudzych, jak sukni nabytych na tandecie. Prócz kilku, kto dziś z tłumu nowo występujących powieścio-pisarzy ma oryginalną barwę i kto widzi świat sam przez się i z nowej strony? kto styl ma odrębny, udzierżający właściwością, lub formę własną i nową? bardzo a bardzo niewielu... To pewna, że często wśród mnogich prób trudno inaczej jak po okładce rozpoznać autora, tak to wszystko jednostąjne, odbite w jednej matrycy i nie świeże.

Rozmaitość.

* Od dawna już znana była zdolność jakie posiada węgiel do połykania wyziewów organicznych, gazów i par rozmaitych. Używano też od wieków prochu węglowego do cedzania i czyszczenia wód zepsutych. Wynaleziono teraz nowe zastosowanie węgla wielce pożyteczne do wyczyszczenia powietrza zepsutego. Jakoż w tym celu urządzony jest prosty bardzo przyrząd, **oddychalnikiem** nazwany. Dawniej już nieco znany był przyrząd przewiewaczem zwany, złożony z cienkiej warstwy sproszkowanego lub pośrotowanego węgla, zawartego pomiędzy dwiema rzadkiemi tkaninami czyli siatkami metalicznemi. Przewiewacz ten przeznaczony do oczyszczenia powietrza w wychodkach, w salach i amfiteatrach szpitalnych i t. d. używa się w ten sposób, że się przezeń przepuszcza powietrze zepsute które tracąc wszelkie zawarte w niem nieczystości szkodliwe, prowadzi się dalej, n. p. do sal szpitalowych zupełnie czyste, i zdrowe. W czasie grasujących zaraz takie przewiewacze, zastosowane do mieszkań, mogłyby niezaprzeczenie położyć tamę szerzeniu tej zarazy; możnaby też takiego aparatu używać do składu materaców, poduszek i kołder, a w większym rozmiarze dałby się zastosować przy ujściu kanałów ściekowych i t. d. Oddychalniki których wynalazek zawdzięczamy doktorowi Stenhouse w Londynie, urządzone są na podobieństwo przewiewaczów. Są to także dwie tkaniny, jedna metaliczna a druga bawełniana lub lniana, między które sypie się taki proszek węglany. Przyłożony taki aparat do ust chorego, mającego oddech zepsuty, mianowicie w chorobach płucowych i gardlanych, oczyszcza wchodzące i wychodzące powietrze, co równie jest pożytecznem dla otaczających chorego jak i dla samego chorego; wpuszczając bowiem powietrze odświeżone do kanałów oddechowych, przykłada się do uleczenia choroby. Niemniej też proszek węglanny da się zastosowac do gangreny, którą powstrzymuje. Używano już tego sposobu w różnych szpitalach, w postaci materacyków węglem napełnionych, i przekonano się że chorzy którzy już całkiem z sił opadli i najprawdopodobniej musieliby umrzeć z powodu szerzących się zropiałości, przychodzili bardzo prędko do zdrowia. Dodać tu jeszcze należy że takie wszystkie aparata, zatrzymują woń przykrą w sobie, a proszek węglowy w nich zawarty choćby największą ilość szkodliwych wyziewów pochłonął w sobie, może być przywrócony do dawnej użyteczności za powocą prostego wypalenia w naczyniach zamkniętych.

* W ujeżdzalni pana *Leśniewicza* mieliśmy niedawno miłą i pożyteczną rozrywkę. Widzieliśmy bowiem i porównywaliśmy rasy koni różnej krwi i tresury, wykonanej według najnowszych zastosowań umiejętności do życia praktycznego. Były tu konie arabskiej krwi, hr. J. Dzieduszyckiego, potem prezentowała się rasa angielska tak co do krwi jak i ruchu, ze stajen pana Mysłowskiego; — w końcu debiutowała w całej swojej kokietującej skromności rasa czysta polska, a wykonane z największą precyzyą wszelkie zamorskie maniery, okazały nam jasno że dla krwi polskiej nic nie jest niepodobnego.

Przyznali to obecni wysokich stopni wojskowi i wynurzyli panu Raciborskiemu, właścicielowi tych koni, swoje zadowolnienie. Rozpatrując się przy tej sposobności po ujeżdzalni pana *Leśniewicza*, widzieliśmy, że w urządzeniu jej nieprzepomniał właściciel o żadnej drobności, odpowiadającej dzisiejszym wymaganiom sztuki ekwitacyjnej.

Zakład ekwitacyjny w mieście stołecznem obok interesu przedsiębiorstwa, trąca wiele o interes ogólny, abyśmy się w nim bliżej nie rozpatrzyli. Sztukę jeżdżenia na koniu wydoskonalono po dziś dzień do tego stopnia, że nieobeznany z nią, chociażby od dziecka na koniu wzrósł, uczyni z siebie najpocieszniejszą karykaturę nawet wobec wcale niewybrednych widzów. Metoda zaś pana *Leśniewicza* jest tak zwięzła i praktyczna, że w krótkim czasie i małym kosztem nabywa jeździec pewności siebie i zręczności użycia sił tak swoich jak konia. Życie miejskie do ruchu fizycznego tyle ograniczone a tak go potrzebujące, może w tej pożytecznej rozrywce znaleść naturalną reakcyą sił wycieńczonych.

Konie pana *Leśniewicza* odpowiadają zupełnie celowi zakładu; początkujący uczeń i ukończony jeździec mogą stosownych do siebie wybrać wierzchowców.

* Do dzisiejszego Numeru dołączone są dla abonentów mód: jedna rycina mód i arkusz wzorów rozmaitych robót damskich.

Przyjechali od dnia 10. do 11. Kwietnia do Lwowa:

PP. Barański Michał, z Badłowic. Orłowski Franciszek, ze Żółkwi. Strzelecki Eugeniusz, z Wyrowa. Obmiński Napoleon z Koszarek. Rozwadowski Erazm, z Hładek. Karnicki Feliks hr. z Rogużna.

PP. Falkowski Michał, z Głuchowa. Wybranowski Roman, z Dzwinogrodu. Golejewski Józef hr. z Hryniowic. Gumowski Hieronim, z Przemyśla. Drohojowski Ludwik, z Przemyśla. Nahujowski Jan, z Kropiwnik. Jakubowicz Józef, z Kurzan. Witosławski Bronisław z Brzeżan. Małachowski Cezar, z Krzawki. Załeski Leon, z Husiatyna. Gottleb Kwirin, Dołhómościsk. Medwej Franciszek, ze Stupnicy. Nowakowski Franciszek, ze Złoczowa.

Wyjechali od dnia 9. do 11. Kwietnia ze Lwowa:

P. Turczyński Jan, do Łoposzyna.

PP. Borowski Egidiusz, do Turki górnej. Bremer Antoni, do Grodowca. Ciepielowski Dyonizy do Sambora. Krasiński Piotr, hr. do Rohatyna. Żurakowski Wiktor, do Hłuboczka. Ujejski Adolf, do Pławczy. Wolański Erazm, do Kopyczyniec. Krzysztofowicz Zachariasz, Antoni i Franciszek, do Trybuchowic. Bogdanowicz Maksymilijan do Przemiłówki. Kulicki Eustachy do Skniłowa.

Lwów, 4 Kwietnia. Na dzisiejszym targu płacono korzec pszenicy ozimej po 35 złr. — kr. do 37 złr. 30 kr. — Żyta po 28 złr. — kr. do 30 złr. — kr. Jęczmienia po 22 złr. — kr. do 22 złr. 30 kr. Owsa po 15 złr. — kr. do 17 złr. 30 kr. Grochu po — złr. — kr. do — złr. — kr. Hreczki po — złr. — kr. do — złr. — kr. —. Ziemniaków po — złr. — do 13 złr. — kr. Sąg drzewa bukowego 50 złr. — kr. do 55 złr. — kr. Sosnowego po — złr. — kr. do — złr. w. w. Cetnar siana 5 złr. — kr. do 5 złr. 30 kr. Centnar słomy 3 złr. 8 kr. do 3 złr. 5 kr. w. w. Garniec 30 stopniowej okowity bez opłaty 4 Złr. 15 kr. do 4 złr. 22 kr. w. w.

Kurs telegrafowany z Wiednia 11. b. m. o g. 2 popołud.

Augsburg za 100 złr. .	$125\frac{5}{8}$	Pożyczka 5% $82\frac{3}{16}$ $4\frac{1}{2}$	71
Hamburg za 100 tal. banco	$92\frac{1}{4}$	Akcye banku	—
Londyn za 1 funt szterl.,	12 15	Kolej północna	$1967\frac{1}{2}$
Medyolan za 300 lirów	$124\frac{3}{4}$	Obl. ind.	$74\frac{3}{4}$
Paryż za 300 franków .	$146\frac{3}{4}$	Nowa pożyczka z loteryą	$103\frac{1}{4}$
Agio duk. ces.	$29\frac{3}{4}$	Pożyczka narodowa . .	$86\frac{5}{8}$

Wczorajszy **Kurs Lwowski** Gotówką towarem.

Dukat holenderski	złr.	5	kr.	47	złr.	5	kr.	50
Dukat cesarski	«	5	»	52	»	5	«	56
Półimperyał zł. rosyjski	«	10	«	6	»	10	«	10
Rubel srebrny rosyjski	»	1	«	57	«	1	»	58
Talar pruski	»	1	«	51	»	1	«	53
Polski kurant i pięciozłotówka	»	1	«	24	»	1	«	25
Galicyjskie listy zastawne za 100 zł. bez kuponu	»	93	«	40	»	94	«	—
Galicyjskie obligacye indemnizacyjne bez kuponu		74	»	12	»	74	»	30
5 proc. pożyczka narodowa		86	»	25	»	87	«	10

Do dzisiejszego Numeru dołączony jest dodatek.

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą: **H. W. Kallenbach.** Z drukarni **E. Winiarza.**